

Znasz „Kod Leonarda da Vinci”?
Myślisz, że wiesz już wszystko?

TOMASZ SERZYSKO

DEMONY
OKSYTANII

Tajemne znaki,
zagadkowe morderstwa
i stowarzyszenie,
które nie cofnie się
przed niczym...

LIRA
WYDAWNICTWO

DEMONY
OKSYTANII

TOMASZ SERZYSKO

DEMONY
OKSYTANII

L I R A
WYDAWNICTWO

Lira Publishing Sp. z o.o.

Wydanie pierwsze

Warszawa 2023

ISBN: 978-83-67388-97-9

*Dla Aleksandry
za uświadomienie, że od szczęścia
dzieli nas czasem jedna wiadomość*

*Demony umieją sprawiać,
by ludzie postrzegali rzeczy nieistniejące tak,
jak gdyby istniały one naprawdę.*
Laktancjusz

*Dalibóg, rzeźba jest nowa — stworzyłem ją
bowiem dziś w nocy, śniąc o dziwnych miastach —
sny są zaś starsze niżli zadumany Tyr,
zamyślony Sfinks, niżli wiszące ogrody Babilonu.*
Howard Phillips Lovecraft, *Zew Cthulhu*

FAKTY

Compagnie du Saint-Sacrement — tajemne stowarzyszenie Kościoła katolickiego założone w 1630 roku przez Henriego de Lévisa, rekrutujące swych członków w przeważającej liczbie spośród duchownych zakonu jezuitów. W późniejszych latach przyjmowało w swe szeregi również ludzi świeckich, zwłaszcza tych wysoko postawionych. Na określenie stowarzyszenia jego członkowie w rozmowach między sobą używali francuskiego słowa *assemblée*, oznaczającego zgromadzenie, lub enigmatycznego skrótu AA. O ile o samej organizacji wiemy sporo — głównie za sprawą René de Voyera d'Argensona, który w traktacie *Annales de la Compagnie du Saint-Sacrement* obszernie przedstawił jej historię — o tyle rozwinięcia powyższego skrótu po dziś dzień nie dane nam było poznać. Wiadomo natomiast, że najbardziej ortodoksyjni członkowie Towarzystwa Świętego Sakramentu byli rekrutowani do formacji zwanej *Sainte Milice*. Utworzona z myślą o wspólnym praktykowaniu żarliwych modlitw sekcja Świętej Milicji z czasem w coraz większym stopniu angażowała się w sprawy wspólnoty, choć podejmowane przez nią działania nie są w pełni znane. Przyczyna nietypowej dyskrekcji obowiązującej w szeregach Towarzystwa pozostaje dla nas zagadką. Choć oficjalnie rozwiązano je w 1666 roku, za rządów Ludwika XIV, nieformalnie istniało jeszcze przez co najmniej trzysta lat, a jego członkowie działali przez ten czas w wielu miastach Francji. I — być może — działają do dzisiaj...

WSTĘP

*RENNES-LE-CHÂTEAU, POŁUDNIOWA FRANCJA,
21 STYCZNIA 1917 ROKU, GODZINA 23.00*

Od ponad godziny Jean Rivière siedział przy biurku w posiadłości przy Rue de la Salasse. Wynajął pokój tylko na dobę; był pewny, że jego gościnną wizyta w małej miejscinie nie potrwa dłużej niż kilka godzin. Miał nadzieję wrócić do siebie jeszcze przed końcem dnia. Jednakże to, czego dowiedział się wcześniej tego wieczoru, pokrzyżowało mu plany i zmusiło do opóźnienia wyjazdu. Nigdy by nie przypuszczał, że jedna spowiedź wywróci całe jego życie do góry nogami.

Ślęczał nad kartką papieru, nerwowo ściskając w dłoni pióro. Co chwila zerkał na zegarek i odwracał się niespokojnie, jak gdyby czegoś się obawiając. Serce biło mu jak oszalałe, gdy rozdygotanymi dłońmi ocierał pot z czoła. Ale nie zamierzał się poddać. Wiedział bowiem, że jest jedyną osobą na świecie zdolną do przekazania potomnym sekretu człowieka, który najpewniej o świecie będzie już martwy.

— Muszą się dowiedzieć... — szepnął pod nosem tak cicho, że ledwo sam siebie dosłyszał.

Ostatnie pociągnięcie pióra. Ostatnia litera.

Zerwał się z krzesła, opuścił pokój i chwiejnym krokiem pokonał korytarz. Udał się schodami w dół i wyrzwał na zewnątrz. Mgła zdążyła już opaść. Niedobrze — pomyślał.

Ktoś mógłby go zauważyć. Rozglądnał się po ulicy i prędko dostrzegł, że w okolicy nie było żywej duszy. Zdecydował się podjąć ryzyko.

Refleks księżycy w kałużach. Przejmująca cisza z rzadka tylko przerywana cykaniem świerszczy.

Stanął u wrót kościoła. Wyciągnął z kieszeni kartkę papieru i złożył ją wpół. W tamtej chwili nie był już spowiednikiem, a jedynie grzesznym posłańcem. Popęłił bowiem najcięższe przestępstwo kościelne, łamiąc *sigillum sacramentale**. Postąpił wbrew prawu kanonicznemu, żeby umierający mógł zaznać spokoju. Dla niego samego nie było już odwrotu. Uniósł wzrok i przeżegnał się.

Z duszą na ramieniu przestąpił próg kościoła, by powierzyć tajemnicę demonowi, który odtąd miał być jej strażnikiem przez następne sto lat.

* (łac.) Tajemnica sakramentalna.

ROZDZIAŁ 1

*CARCASSONNE, 45 KILOMETRÓW NA PÓŁNOC
OD RENNES-LE-CHÂTEAU,
22 KWIETNIA 2017 ROKU, GODZINA 6.30*

— Proszę opowiedzieć raz jeszcze, co zdarzyło się ubiegłej nocy.

Wielebny Auguste Babineaux kurczowo zacisnął dłonie, usłyszawszy to pytanie po raz trzeci w ciągu ostatnich dwóch godzin. Poczul ukłucie w klatce piersiowej, a serce podeszło mu do gardła na myśl o tym, że jest zmuszony po raz kolejny przywołać wspomnienie z zeszłego wieczoru. Nerwowo przełknął ślinę i rozchylił wargi, ale nie wyrzekł nic, jak gdyby w jednej chwili uświadomił sobie, że słowa nie są w stanie opisać tego, czego doświadczył. Napił się wody ze szklanki stojącej na stole, po czym sięgnął do kieszeni. Wyjął z niej chustkę i przetarł nią twarz. Następnie wstał bez słowa i powoli skierował się w stronę drzwi, po czym udał się wzdłuż korytarza prowadzącego do wyjścia z komisariatu przy alei Henriego Goûta w Carcassonne.

Siedzący naprzeciw inspektor François Malinot nie pojął zrazu zaistniałej sytuacji. Obrócił się na krześle i spojrzął w lustro weneckie, zza którego przesłuchanie uważnie obserwował dziennikarz Jérémie Blanc. Policjant wzruszył ramionami, nie komentując zachowania księdza. Po dwunastu godzinach spędzonych w pracy nie miał już sił dociekać motywów irracjonalnych urojeń proboszcza

kościół w Rennes-le-Château. Zebrał leżące na biurku papiery, których większość stanowiły materiały dostarczone mu przez Blanca. Pokryte plamami od kawy wycinki artykułów z gazet ułożył na spód, a obydwaj protokoły ze wstępnego przesłuchania Babineaux, sporządzone przez dwóch niezależnych policjantów przed jego przybyciem, umieścił na wierzchu.

Podwójny wywiad zwykle nie był rutynowym postępowaniem, bowiem wykonywano go jedynie w przypadku, gdy istniały wątpliwości co do wiarygodności świadka. Mogło mieć to miejsce tylko w dwóch sytuacjach; po pierwsze — gdy przesłuchiwany mijał się z prawdą, po drugie zaś — kiedy opowiadał tak niestworzone historie, że trudno było w nie uwierzyć. Babineaux reprezentował ten drugi typ świadka.

Zarówno Malinot, jak i jego podwładni byli świadomi powszechnego zainteresowania opinii publicznej i mediów dziwnymi doniesieniami płynącymi z Rennes-le-Château w przeciągu ostatnich trzech miesięcy. I chociaż to nie komisariat przy alei Henriego Goûta miał pierwotnie zajmować się tą sprawą, ostatecznie to właśnie na barkach pracujących tam policjantów spoczął obowiązek prowadzenia owego śledztwa.

Jakby zamieszania wokół całej sprawy było mało, Blanc — jako wieloletni przyjaciel Malinota — nalegał na przesłuchanie Babineaux w jego obecności. Pomimo sympatii inspektora do dziennikarza nie było mu to na rękę. Jakikolwiek artykuł w „La Gazette du Sud-Est” niósł bowiem za sobą groźbę rozszerzenia się zainteresowania śledztwem poza mury miasta, na co nie można było

pozwolić. W związku z tym wszelkie działania podejmowane przez lokalną policję musiały odbywać się w największym sekrecie, a wszystkie informacje rzucające nowe światło na sprawę musiały pozostać poufne. Nietrudno zatem domyślić się, że Malinot — pomimo niezrozumiałej zgody, jaką wyraził na udział Blanca w przesłuchaniu — odetchnął z ulgą tuż po nagłym opuszczeniu pokoju przez Babineaux.

Inspektor zerknął raz jeszcze na zeznania księdza. Tylko głupiec by w to uwierzył — pomyślał, po czym wstał zza biurka i opuścił pomieszczenie. Na korytarzu czekał już na niego Blanc.

— Chcę zobaczyć zeznania.

— Prośba równie bezczelna, co ton, jakiego używasz wobec inspektora francuskiej policji — odparł Malinot, niewzruszony zuchwałym żądaniem Blanca. Nie zamierzał zwalniać kroku. — Chciałeś być przy przesłuchaniu. Dostałeś to, o co prosiłeś, a teraz daj mi spokój, bo muszę odpocząć. To był długi dzień.

— Nie rozumiesz. — Dziennikarz zagroził mu drogę, ironicznie się uśmiechając. — Ta sprawa...

— Ta sprawa nie jest twoją sprawą! — przerwał mu Malinot. Miał już dość węszących wszędzie dziennikarzy. — Myślisz, że to zabawa? Zachowujesz się jak dziecko próbujące ułożyć puzzle, w których brakuje paru elementów. Nie dostaniesz ich. — Ominął Blanca i ruszył przed siebie. Dziennikarz jednak nie ustępował.

— Otwórz wreszcie oczy, François! — wrzasnął, przesadnie gestykułując, jak to miał w zwyczaju. — Trzy zabójstwa w ciągu trzech miesięcy...

— Dwa zabójstwa — poprawił go Malinot. — Babi-neaux żyje.

— Kwestia czasu — roześmiał się Blanc. — Naprawdę uważasz, że te sprawy nie są powiązane? Dwóch księży, ba, proboszczów tej samej parafii ginie w krótkim odstępie czasu, a gdy trzeci przychodzi błagać o pomoc, jego obawy zostają zbagatelizowane. Niech zgadnę, mówił to samo, co dwóch poprzednich? Opowiedział tę samą niepojętą historię, której francuska policja nie uznała za wystarczająco wiarygodną, nawet kiedy usłyszała ją z trzech różnych ust? Myślicie, że zamknięcie Ebelinga, tego organisty, załatwiło sprawę? Najwidoczniej nie, skoro on siedzi w więzieniu, a kolejny klecha zgłasza się do was. Kto jeszcze musi umrzeć, żebyście wreszcie wzięli się do roboty?! — Ostatnie zdanie niemalże wykrzyczał. Malinot nie wytrzymał.

— Posłuchaj mnie uważnie, Jérémie. — Odwrócił się i spojrzał mu prosto w oczy, zbliżając się na odległość wystarczającą, aby czuli swe oddechy. — Nie interesuje mnie twoja praca i nie będę narażał śledztwa tylko po to, żebyś napisał kolejny artykuł, który będziesz mógł oprawić w ramkę i powiesić na ścianie. Jeszcze chwila i o tej historii dowie się cała Francja, a wtedy ty nie będziesz już miał monopolu na tę sprawę, a mnie żandarmeria zwali się na głowę. Masz więc wybór: albo poczekasz, aż zakończymy śledztwo i wtedy machniesz siedmiostroni-cowy, trzymający w napięciu artykuł o tym, jak całe Car-cassonne żyło w strachu przez trzy miesiące, ale dzielni policjanci położyli kres tajemniczemu morderstwu, albo napiszesz teraz krótką notkę i za dwa dni będziemy tu

mieli dziennikarzy z całej Francji. A wtedy stracisz swoją kurę znoszącą złote jajka! — powiedział niemal jednym tchem, po czym cofnął się, odwrócił i rzucił za siebie: — I nie chcę przeczytać o tym w jutrzejszym wydaniu „La Gazette du Sud-Est”.

Dziennikarz westchnął. Na korytarzu rozległy się kroki odchodzącego Malinota. Wbrew przestrodze inspektora Blanc nie zamierzał jednak odpuścić. Na pewno nie teraz, kiedy trafiła mu się taka sprawa. Mimo całej irytacji, jaką wypełniła go wymiana zdań z policjantem, musiał przyznać, że ten znał go jak nikt inny. Inspektor doskonale wiedział, że ambicja młodego dziennikarza nie pozwoli mu wypuścić z rąk takiej szansy. Rozmowa z Malinotem uświadomiła Blankowi, że to wszystko jest bardziej skomplikowane, niż myślał. Dotarło do niego, że sam nie da sobie rady. Potrzebował pomocy.

— Źle ci było? — wykrzyczał za inspektorem, gdy ten miał już zniknąć za progiem swojego gabinetu. Malinot tylko rzucił mu spojrzenie wyrażające zażenowanie, którego powody znali jedynie oni dwaj.

Blanc wyciągnął z kieszeni marynarki wykałaczkę i włożył ją pomiędzy wargi. Odwrócił się i odszedł.

ROZDZIAŁ 2

Po wejściu do swojego gabinetu Malinot rozsiadł się w fotelu, splótł ręce na głowie i zastygł w tej pozycji. Po kilku sekundach rozprostował kark i sięgnął po telefon komórkowy. Wybrał spośród wielu kontaktów numer, po czym przyłożył telefon do ucha.

— Adrien, niech ktoś odwiezie tego księdza do domu — powiedział niemal natychmiast, gdy usłyszał głos swojego podwładnego po drugiej stronie. — Powinien być jeszcze gdzieś w pobliżu, poszukajcie na Henriego Goûta.

Rozłączył się. Przez jego głowę przemknęła spontaniczna lawina niepojętych myśli, której nie był w stanie zatrzymać. Nie potrafił pojąć, jaki rodzaj szaleństwa wiedzie siedemdziesięcioletniego, schorowanego klechę czterdzieści pięć kilometrów z położonej pomiędzy postrzępionymi pasmami górskimi zaściankowej miejscowości departamentu Aude do średniowiecznego miasta Oksytanii. Rozmyślał, jaki rodzaj obłądu musiał zawładnąć umysłem proboszcza, że podejmuje on wędrówkę wzdłuż wąskiej drogi otoczonej lasami i polami tak rozległymi, że nawet w przepojonym nocną aurą blasku księżyca na bezchmurnym niebie trudno szukać ich końca. Nie umiał rozstrzygnąć, czy irracjonalność postępowania księdza może stanowić niepodważalny dowód na słuszność jego zeznań. Jeśli tak, to czy Malinot — ograniczony francuskim systemem prawnym, w którym prym wiodą sztywne reguły i nie ma miejsca na dowolność — może przyznać mu rację?

Przytłaczające go myśli związane ze śledztwem przeplatały się ze sprawami osobistymi, których Malinot do tej pory unikał jak ognia. Nigdy bowiem nie przywiązywał wielkiej wagi do własnego życia prywatnego, a wszelkie emocje dusił w zarodku, gdy tylko czuł, że mogą nim zawładnąć. Ale teraz pojawił się on, Jéréemie Blanc, którego postać budziła w inspektorze skrajne uczucia, i w którego obecności z niezrozumiałych względów nie potrafił zachowywać się racjonalnie. Być może Malinot nie różnił się tak bardzo od targanego niedorzecznymi urojeniami księdza, a odmiennosc ich obaw wynikała z odmiennego stosunku do wiary, której inspektor nie ufał? Każdy musi zmagać się ze swoimi demonami — przemknęło mu przez myśl.

Dźwięk telefonu przerwał niekończące się rozmyślenia.

— Inspektorze, musi pan to zobaczyć... — powiedział Adrien Cartier, z którym Malinot rozmawiał kilka minut wcześniej.

— Jeśli go znaleźliście, odwiedźcie go po prostu do domu, nie mam już sił na...

— Spotkałem go, ale naprawdę nalegam, żeby pan tu przyszedł — wyrzekł z niepokojem w głosie Cartier. Inspektor westchnął ciężko, żeby rozmówca pojął jego niezadowolenie.

— Dobra, biorę kluczyki i jadę...

— To nie będzie konieczne, jesteście pod komisarzatem.

Malinot zmarszczył brwi; zastanawiało go, czy ten dzień kiedyś się skończy.

— Zaczekajcie.

Zarzucił marynarkę na ramiona i owinał się szalem, po czym opuścił swój gabinet. Skierował się w stronę wyjścia, mijając po drodze jednego z policjantów, który rzucił mu dziwnie niepokojące spojrzenie. Inspektor zlekceważył to jednak i szedł dalej, by po chwili dotrzeć do drzwi frontowych. Pchnął je — poczuł, jak opór ustępuje niewspółmiernie lekko do użytej przez niego siły. W tym samym momencie drzwi się uchyliły, a zza nich wyłoniła się sylwetka postaci, którą Malinot zapamiętał zgoła inaczej z rozmowy sprzed pół godziny.

— Proszę mnie wpuścić... Ja nie mogę tam wrócić... Proszę... — wyjąkał Babineaux, który w żaden sposób nie przypominał owego spokojnego, cichego klechy, z którym inspektor bezskutecznie próbował rozmawiać wcześniej tego poranka. Nagle proboszcz jednym ruchem otworzył drzwi na oścież i wparował do środka, jak gdyby gnany naprzód przez niewidzialną siłę, której obecność wyczuwał tylko on jeden. Malinot odruchowo odsunął się i oparł o ścianę, nie mogąc uwierzyć w to, co właśnie zobaczył.

Babineaux, którego nienagannie ułożone, siwe włosy delikatnie spływały wcześniej po ramionach, był teraz kompletnie łysy, a spod podartej miejscami odzieży kapąły krople krwi, które klecha nieumyślnie rozsmarowywał po podłodze. W jego na wpół rozpiętej sutannie brakowało koloratki — zamiast niej pod szyją widniały trzy pręgi ran, z których również obficie sączyła się krew. Na pierwszy rzut oka sprawiały wrażenie wrytych jakimś tępym narzędziem. Z kolei jego oczy, w których w czasie rozmowy z inspektorem można było spostrzec jedynie ledwie dostrzegalny niepokój, płonęły teraz ogniem

histerii. Takim ujrzał go Malinot, gdy lekkim pchnięciem otworzył drzwi.

— Proszę usiąść i się uspokoić! — rzucił Cartier, który wparował do komisariatu tuż za księdzem; po chwili dołączył do niego inny policjant. Adrien Cartier zwrócił się wówczas do inspektora: — Przepraszam, wpadł w jakiś szal, kiedy chciałem go odwiedzić do Rennes-le-Château. Siedział pod latarnią na skrzyżowaniu przy Camille Desmoulines.

— A ta krew? — zapytał Malinot głosem pełnym zdumienia. — Jak on wygląda, co mu się stało?

— Nie wiem, inspektorze — odparł Cartier, z trudem oddychając. — Takiego już go znalazłem, nie chciał powiedzieć.

Ostatnich słów Malinot już nie zarejestrował. Całą swoją uwagę skupił bowiem na dźwięku migawki aparatu w telefonie, który dobiegł go zza pleców.

— Powiedziałem ci, żebyś tu nie węszył! — wycedził przez zaciśnięte zęby do zbliżającego się wolnym krokiem Blanca. Ten jedynie schował telefon do kieszeni i minął inspektora; kąciki jego ust uniosły się w ironicznym uśmiechu, gdy otarł się ramieniem o Malinota. Opuścił komisariat, tym razem na dobre.

Tymczasem inspektor w mgnieniu oka stłamsił w sobie złość i uprzejmym gestem poprosił księdza, aby ten usiadł na jednym z krzeseł znajdujących się w poczekalni. Po kilku sekundach zastanowienia Babineaux niechętnie go posłuchał. Malinot natomiast zajął miejsce obok i dyskretnie nakazał swoim podwładnym, aby zostawili ich samych.

— Proszę się uspokoić — zwrócił się do niego życzliwym tonem. — W obecnej chwili naprawdę nerwy nie są wskazane.

— Ja... Ja nie wiem, jak to się stało — wymamrotał ksiądz, wodząc mętnym wzrokiem po poczekalni. — Tak szybko... Nic nie mogłem zrobić.

— Spokojnie, wszystko po kolei. — Łagodne słowa, jakimi teraz zwracał się do Babineaux, w niczym nie przypominały przepelnionego goryczą krzyku, którym chwilę wcześniej obdarował Blanca. — Przypomina sobie ojciec, kto mu to zrobił?

— Nie... Niczego nie pamiętam.

— A ostatnia rzecz, której ojciec jest pewien? Po wyjściu stąd, co się dalej działo? — zapytał Malinot dociekliwym tonem. Zdecydował się odtworzyć drogę klechy od momentu, kiedy ten opuścił pokój, do czasu, gdy odnalazł go Cartier. A przynajmniej chciał spróbować.

— Ja naprawdę... Nic... Niczego nie pamiętam. — Gorączkowo przetarł twarz rękawem sutanny. — Tylko błysk... Błysk i muzyka... A pomiędzy nimi...

— Co pomiędzy nimi? — Inspektor zniżył głos.

— Słowa... *esem... esem... esem...* — wyszeptał. — Nic więcej, to wszystko, co pamiętam...

Malinot spuścił wzrok i wyprostował się na krześle. Dotarło do niego, że majaczenie księdza w niczym mu nie pomoże. Zdecydował się zakończyć rozmowę i wrócić do niej, gdy Babineaux dojdzie do siebie.

— Proszę się nie martwić. — Położył dłoń na jego ramieniu. — Osobiście zajmę się tą sprawą i doprowadzę ją do końca...

Przerwał. W momencie, gdy jego dłoń ześlizgnęła się po ramieniu klechy wprost na jego plecy, poczuł dziwnie ciepłą ciecz otulającą jego palce. Odruchowo cofnął rękę i spojrział na nią — wówczas zorientował się, że chwilę wcześniej nieumyślnie brodził w ciemnoczerwonej posoce pokrywającej grzbiet Babineaux, z wolna teraz spływającej po jego palcach w dół na nadgarstek. Ujrzał, jak mankiet koszuli łąpczywie pochłania krew, której strugi leniwie spływały na materiał.

— Proszę się odwrócić — rzekł do księdza neutralnym tonem. Gdy ten zastosował się do prośby Malinota, inspektor chwycił za brzegi na wpół rozdartej sutanny i pociągnął na boki, rozrywając ją aż do samego dołu. Wzdrygnął się na sam widok pleców Babineaux, szepcząc pod nosem: — Co jest...